

Piotr Legutko

JEDYNE TAKIE MUZEUM

ODZYSKANA
PAMIĘĆ
O POWSTANIU
WARSZAWSKIM



Piotr Legutko

JEDYNE TAKIE MUZEUM

ODZYSKANA
PAMIĘĆ
O POWSTANIU
WARSZAWSKIM



Kraków 2014

ROZDZIAŁ I

**OD ZMOWY MILCZENIA
DO NIEMOCY
1945–2003**

Kiedy pojawiła się idea Muzeum Powstania Warszawskiego? Jeśli nie będziemy jej ograniczać jedynie do eksponatów zamkniętych w obrębie murów, to można śmiało powiedzieć, że już 1 sierpnia 1945 roku. W dniu, kiedy ci, którzy ocalili z wojennej pożogi, a do tego mieli taką możliwość, spotkali się w zrujnowanej i pozbawionej komunikacji stolicy, na Cmentarzu Powązkowskim. Był to pierwszy akt upamiętnienia poległych bohaterów powstania, o których wspomnienie było jeszcze bardzo świeże. Jak na ówczesne ekstremalne warunki przyszły prawdziwe tłumy warszawiaków, bacznie obserwowane przez funkcjonariuszy UB.

Wszystko to działo się w warunkach nieomal wojennych. Na Powązki wciąż jeszcze trafiały ekshumowane zwłoki zabitych w walkach sprzed roku. Czuwał nad tym powołany przez Polski Czerwony Krzyż zespół do spraw ekshumacji poległych powstańców. Przy aktywnym udziale tych uczestników walk, którzy przeżyli, sporządzono mapę powstańczych mogił i nieoznaczonych, ale znanych ze świadectw miejsc pochówku, znajdujących się często pod zwalami gruzu. Nie było jeszcze regularnych powstańczych kwater, poległych chowano w indywidualnych mogiłach, ale z zachowaniem przynależności do macierzystych formacji.

Poszukiwania prowadziły nieformalne – i nie do końca legalne z perspektywy komunistycznych władz – komitety. Było to niebezpieczne i ryzykowne. Właśnie 1 sierpnia 1945 roku w drodze na Cmentarz Powązkowski został zatrzymany pułkownik Jan „Radosław” Mazurkiewicz, którego pięć lat później uczyniono przywódcą „spisku wrogich sił”. We wrześniu wystosował on apel do żołnierzy Obszaru Centralnego AK o ujawnienie się przed komisjami likwidacyjnymi powołanymi w Warszawie i poza nią. Większość pozostających wówczas w kraju powstańców przyjęła w dobrej wierze apel swojego dowódcy, cieszącego się powszechnym szacunkiem. Poważnie też potraktowano składane im gwarancje wolności osobistej i pełni praw obywatelskich. Komisje likwidacyjne zebrały dzięki temu bezcenne dane o powstańcach, które wkrótce miały zostać wykorzystane przez aparat represji.

Pierwszy upamiętniający ich pomnik stanął już w sierpniu 1945 roku w Słupsku. Poświęcił go ksiądz Jan „Rybak” Zieja, kapelan

powstańczy. Rok później, 1 sierpnia 1946 roku, swojego monumentu doczekali się również mieszkańcy stolicy. Przez główną bramę wojskowego cmentarza na Powązkach wkroczył chwytający za serce pochód powstańców w strojach bojowych, którzy uczestniczyli w odsłonięciu pomnika Gloria Victis (Chwała Zwycięzonym), powstałego według projektu Haliny Kłosowicz, wykonanego przez firmę kamieniarską Braci Kozieńskich. Monument na Cmentarzu Powązkowskim miał się na wiele lat stać jedynym praktycznie miejscem w Warszawie, gdzie – nawet w czasie najsroższych represji – powstańcom oddawano należny hołd. W tym roku pojawił się też niezwykle pomysł, by z gruzów zalegających w Warszawie usypać kopiec i umieścić w nim muzeum poświęcone powstaniu. Nie udało się tego jednak wprowadzić w życie.

W 1948 roku reaktywowano Muzeum Historyczne m.st. Warszawy. W akcie powołującym do życia placówkę znalazł się też zapis o utworzeniu w ramach działu historycznego odrębnej części zatytułowanej: *Powstanie sierpniowe 1944 roku i zniszczenie miasta*.

Bardzo aktywny w gromadzeniu pamiątek i śladów powstania był w pierwszych latach po wojnie Jan „Anoda” Rodowicz. Po ujawnieniu się pracował w kancelarii Komisji Likwidacyjnej. Dzięki temu mógł legalnie utworzyć Archiwum Batalionu „Zośka”. Zachęcał swoich kolegów do poszukiwania i zabezpieczenia materiałów historycznych dotyczących oddziału oraz pisania wspomnień. Za symboliczną datę końca tej – i innych podobnych inicjatyw – można uznać aresztowanie „Anody” (w Wigilię w 1948 roku), a potem jego zamordowanie przez UB 7 stycznia 1949 roku (oficjalnie przekonywano, że popełnił samobójstwo).

10 lutego tego samego roku Minister Bezpieczeństwa Publicznego wygłosił w Sejmie pamiętne oświadczenie, w którym stwierdził, że żołnierze AK „zawiedli zaufanie, jakim ich obdarzono, i – jak się okazało – wznowili dywersyjną robotę skierowaną przeciwko Polsce (...). Posiadamy niezbite dowody, z których we właściwym czasie zrobimy użytek, że cała ta robota jest podporządkowana obcym wywiadam, które pragną wywołać u nas w kraju stan podniecenia i alarmów wojennych” – mówił Stanisław Radkiewicz. Powstańcy

warszawscy znów stali się „wrogiem publicznym”. Zaczęły się masowe aresztowania i prześladowania. Tylko w październiku 1949 roku do więzień trafiło cztery tysiące sześciuset żołnierzy AK. W tych warunkach nie było mowy o kontynuowaniu jakichkolwiek działań na rzecz upamiętnienia Powstania Warszawskiego.

Dopiero po śmierci Stalina i rewelacjach Józefa Światły, 1 sierpnia 1954 roku, mogły się odbyć na Powązkach stosunkowo normalne obchody. W dziesiątą rocznicę wybuchu powstania po raz pierwszy Kompania Honorowa Wojska Polskiego wystawiła warty przed pomnikiem Gloria Victis i odczytano apel poległych. Ale dopiero dwa lata później, 31 lipca 1956 roku, Stołeczna Rada Narodowa podjęła uchwałę o powołaniu Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Bohaterów Warszawy. Jeszcze ważniejsze było to, że zaczęły się wreszcie ukazywać publikacje poświęcone powstaniu. Równocześnie jednak władza starała się kontrolować przekaz wszelkich wydarzeń rocznicowych – akademii, koncertów, spotkań i prelekcji – przez udzielenie monopolu na ich organizację Związkowi Bojowników o Wolność i Demokrację.

„Odwilżowy” klimat wokół powstania skończył się bardzo szybko, bo już w 1961 roku obniżono rangę obchodów. Zrezygnowano z centralnych uroczystości, warty honorowe przy Gloria Victis pełnili tylko harcerze. W 1963 roku Wydział Propagandy KC PZPR wydał dokument *W sprawie obchodów 19. Rocznicy Powstania Warszawskiego*, w którym zamieścił główne tezy propagandowe. Wśród nich na naczelnym miejscu znajdowała się „antyludowa i antyradziecka polityka przywódców obozu londyńskiego, którego skutkiem był tragiczny los Warszawy”.

Wyjątek od panującej reguły dyskredytowania czynu powstańczego władza ludowa zrobiła tylko w jego dwudziestą, dwudziestą piątą i trzydziestą rocznicę. Były akademie, odznaczenia, pamiątkowe znaczki, telewizyjne transmisje ze spotkań przy Gloria Victis. Ale Pomnik Bohaterów Warszawy na Placu Teatralnym odsłonięto nie 1 sierpnia, ale 20 lipca 1964 roku. Data nie była oczywiście przypadkowa, bo pierwotnie zamiast Nike miał w tym miejscu stanąć Pomnik Powstania Warszawskiego. „Zbieraliśmy pieniądze na

pomnik powstania, a wydane zostały po latach na pamiąg z mieczem i gołym biustem. Bo władze Warszawy zdecydowały, że to postać Nike według projektu Mariana Koniecznego będzie poświęcona bohaterom Warszawy” – wspominał na łamach „Rzeczpospolitej” Edmund „Jur” Baranowski.

W PRL-u prawda o sześćdziesięciu trzech dniach wolnej Polski przebijiała się do przestrzeni publicznej jedynie w okresach politycznych przesileni. Tak było po październiku 1956 roku, po wydarzeniach grudnia 1970 roku i wreszcie po strajkach sierpniowych 1980 roku. Każdy kolejny „polski miesiąc” pozostawiał po sobie pewne trwałe pamiątki poświęcone powstańcom, wciąż jednak daleko było do ich pełnej rehabilitacji.

Komuniści grali kartą powstańców do końca swej władzy. Choć z dzisiejszej perspektywy można śmiało powiedzieć, że w sferze symbolicznej stracili ją ostatecznie już w czerwcu 1979 roku. Jan Paweł II podczas swojej pierwszej pielgrzymki do ojczyzny przywrócił Polsce utraconą trzydzieści pięć lat wcześniej nadzieję. Przywrócił ją także warszawskim powstańcom, gdy 2 czerwca na Placu Piłsudskiego usłyszeli słynne słowa: „Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus-Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu”.

To nie przypadek, że niedługo po tamtej pamiętej homilii, 31 lipca 1979 roku, z Katedry św. Jana po raz pierwszy ruszył pod Grób Nieznanego Żołnierza kilkutyśięczny pochód powstańców i mieszkańców Warszawy. Ojciec Święty powtórzył w czterdziestą rocznicę wybuchu powstania te same słowa co w 1979 roku, dopowiadając: „Równocześnie zaś oddaję Bożej Opatrzności przez Panią Jasnogórską moją Ojczyznę i Naród, który w straszliwych zmaganiach drugiej wojny światowej nie szczędził ofiar, aby potwierdzić prawo do niepodległego bytu i stanowienia o sobie na własnej ojczyściej ziemi. Powstanie Warszawskie było krańcowym tego wyrazem”.

Między tymi dwoma papieskimi wystąpieniami wiele się w Polsce wydarzyło, także w kwestii zachowania pamięci o powstańcach.

Po strajku w Stoczni Gdańskiej, porozumieniach sierpniowych i rejestracji NSZZ „Solidarność” Polacy upomnieli się o swoich bohaterów. 1 lipca 1981 roku powołano Społeczny Komitet Budowy Muzeum Powstania Warszawskiego. Jego ówczesny prezes Aleksander Żółkiewski wspomina, że na ten pozornie symboliczny gest, jakim była zgoda na legalne działanie komitetu, przystano jedynie pod warunkiem włączenia go w struktury Towarzystwa Opieki nad Zabytkami.

Czas był gorący, a wszyscy czuli, że karnawał nawet tak reglamentowanej wolności szybko może się skończyć, dlatego starano się działać w sprawie muzeum metodą faktów dokonanych. Na jego siedzibę wybrano zabudowania byłego Banku Polskiego przy ulicy Bielańskiej 10, gdzie znajdowała się powstańcza reduta, która jako ostatnia broniła Starówki. Pod tym adresem komitet ogłosił społeczną zbiórkę eksponatów, które miały w przyszłości zappełnić sale muzeum. Odzew był spory. Mimo ograniczonego zaufania i bolesnych doświadczeń z przeszłości w krótkim czasie zgromadzono około sześćset przedmiotów, które tymczasowo przekazano Muzeum Historycznemu m.st. Warszawy.

Ewa Junczyk-Ziomecka (sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego) wspomina: „W latach pięćdziesiątych w naszym mieszkaniu, w jednym z pierwszych budynków wzniesionych w ruinach Warszawy, stało w pokoju rodziców biurko z jedną szufladą zawsze zamykaną na klucz. Ciekawość zgłębienia tajemnicy, którą dorośli ukrywali przed dziećmi, była tak silna, że któregoś dnia podważyłam zamek nożem i niszcząc ramę szuflady, dostałam się do środka. Jakież było moje zdumienie, gdy w zaklejonym plastrze pudełku odnalazłam białą-czerwoną opaskę i jakieś dokumenty ojca, z których wynikało, że miał pseudonim „Sokół” i był podporucznikiem w batalionie AK Zaremba-Piorun, kompanii Jur, plutonie Robór. Dowiedziałam się, że po powstaniu był w obozie jenieckim, a potem w II Korpusie generała Andersa. Nie

wiedziałam, że był też w Anglii, skąd wrócił do kraju w 1947 roku. To były rodzinne sekrety. Tego dnia pudełko znikło, a ja go więcej nie szukałam.

Takie szuflady i takie pudełka znajdowały się w tysiącach polskich domów. Skrywały rodzinne tajemnice, które były zarazem tajemnicą wszystkich Polaków. Nasze pudełko pojawiło się na stole po powstaniu Solidarności w 1981 roku. Powołany wówczas Społeczny Komitet Budowy Muzeum Powstania Warszawskiego zaczął zbierać pamiątki. Ojciec zastanawiał się przez chwilę, czy nie oddać tam swoich dokumentów. Ostatecznie doszedł do wniosku, że jeszcze na to za wcześnie i pudełko trafiło za książki w domowej bibliotece. Kilka miesięcy później ogłoszono stan wojenny i okazało się, że ojciec znów miał rację”.

Zanim pamiątki zebrane wówczas przez komitet trafiły pod klucz, udało się jednak zorganizować dwie wystawy w Podchorążówce w Łazienkach Królewskich i na Zamku Królewskim. Na tym rola obywatelskiego ciała się zakończyła. W 1983 roku komitet się rozwiązał, a jego członkowie odmówili wejścia w struktury ZBOWiD-u. Nie chcieli bowiem firmować swoimi nazwiskami gry prowadzonej przez władzę. Zwłaszcza że jej scenariusz nie był już tak przejrzysty jak w ubiegłych dekadach. Wojciech Jaruzelski, stosując starą zasadę „dziel i rządź”, chciał pozyskać choć część powstańców i w ten sposób uwiarygodnić swój reżim. Zdawał sobie przy tym sprawę, że korzenie Solidarności tkwią właśnie w tradycji powstańczej. Mógł się o tym przekonać dobitnie choćby 1 sierpnia 1982 roku, gdy przy pomniku Gloria Victis zebrał się wielotysięczny tłum, w górę poleciały ulotki ze znakiem Polski Walczącej i Solidarności, a zebrani wysłuchali płynących z konspiracyjnego nagłośnienia przemówień Zbigniewa Bujaka i... generała „Bora” Komorowskiego o genezie Powstania Warszawskiego. To dlatego rok później junta wojskowa przystąpiła do licytacji.

22 lipca 1983 roku zniesiono stan wojenny, więc trzydziestą dziewiątą rocznicę można było świętować już całkiem oficjalnie, z błogosławieństwem władzy, na uroczystej akademii w sali

Naczelnej Organizacji Technicznej, gdzie wyświetlano film dokumentalny *63 dni* w reżyserii Romana Wionczka. Mało tego, pod patronatem ZBOWiD-u w zakładach Norblina urządzono wystawę *63 dni Powstania Warszawskiego*, a ówczesny minister kultury Kazimierz Żygulski poparł ideę utworzenia Muzeum Powstania w ruinach przy Bielańskiej.

Komisaryczny prezydent Warszawy, generał Mieczysław Dębicki, aż tak daleko się jednak nie posunął. Choć decyzją z 10 lutego 1983 roku powołał do życia Muzeum i Archiwum Powstania Warszawskiego w ramach Muzeum Historycznego, było to posunięcie na wskroś propagandowe, bo mimo szumnej nazwy MiAPW zajmowało raptem dwa ciasne pokoiki oraz zbiory spoczywające pod kluczem w magazynach przy Rynku Starego Miasta. Zasoby kadrowe tej instytucji liczyły trzy osoby. Z dwóch przykazań muzealnych: przechowywać i udostępniać, wypełniano jedynie to pierwsze. Oddział Muzeum Historycznego m.st. Warszawy przez kolejne dwadzieścia lat nie udostępniał, a jedynie przechowywał między innymi: największy zbiór plakatów powstańczych, karabin sten z tajnej wytwórni na Zamku Królewskim, niemiecki motocykl BMW, konserwy ze zrzutów czy powstańczą skrzynkę na listy. W sumie dziesięć tysięcy pozycji w muzealnym katalogu.

Oczywiście cały czas starano się zachować pozory. Władza – niczym chór w greckiej tragedii – wołała: „biegniemy, biegniemy”, cały czas stojąc twardo na swoich pozycjach, ale zarazem dbając, by o muzeum było głośno. W 1984 roku Janusz Durko, dyrektor Muzeum Historycznego przez ponad pół wieku, ogłosił nawet we współpracy ze Stowarzyszeniem Architektów Polskich konkurs na projekt Muzeum Powstania na fundamentach śródmiejskich ruin reduty bielańskiej, po czym na dwa lata zapadła cisza.

1 sierpnia 1984 roku na Placu Krasińskich wmurowano za to akt erekcyjny pod Pomnik Powstania Warszawskiego. Uroczystość wykorzystano propagandowo, wziął w niej udział osobiście generał Jaruzelski. Czterdziesta rocznica wybuchu powstania była swoistym pojedynkiem dwóch światów. Władza organizowała swoje obchody, społeczeństwo swoje. Mimo niesłabnących represji (był to rok

zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki) na niezależne uroczystości na Powązki przyszło dwadzieścia tysięcy ludzi. Czterdziesta rocznica powstania została – po raz pierwszy w historii – dostrzeżona także za granicą. Amerykański Kongres przyjął uchwałę oddającą hołd Powstaniu Warszawskiemu, a prezydent Reagan proklamował 1 sierpnia 1944 roku Dniem Powstania Warszawskiego.

Władza nie miała tak mocnych kart w ręku, co pokazała historia walki o pomnik. W lipcu 1984 roku, tuż przed wielką fetą, Marian Woźniak z KC PZPR otwarcie powiedział na spotkaniu z przedstawicielami społecznego komitetu, że na wzniesienie pomnika nie ma zgody radzieckich towarzyszy. Dwa lata później komitet w ogóle zawieszono, bo nie chciał się zgodzić na forsowaną przez ZBOWiD zmianę nazwy. Pomnik Powstania Warszawskiego okazał się niepoprawny politycznie, miał go więc zastąpić Pomnik Powstańców Warszawskich. Wciąż obowiązywała doktryna „powstańcy – tak, powstanie – nie”. Dopiero pięć lat później, po upadku komuny, przestała ona działać i można było odsłonić Pomnik Powstania Warszawskiego.

Swoistą namiastką wciąż nieistniejącego muzeum była w tamtych latach wystawa *Warszawa walczy 1939–1945*. Zorganizowała ją fundacja, która otrzymała od miasta budynki starej gazowni na Woli. Obiekt sprzedano prywatnym właścicielom, którzy zagwarantowali w umowie przekazanie części pomieszczeń na wystawę poświęconą Powstaniu Warszawskiemu. Od tego momentu można było mówić już o dwóch konkurencyjnych lokalizacjach przyszłego muzeum.

W 1986 roku udało się wreszcie rozstrzygnąć konkurs na jego projekt – z myślą o pomieszczeniach przy ulicy Bielańskiej. Wygrał pomysł Konrada Kuczy-Kuczyńskiego, Andrzeja Miklaszewskiego i Adama Zbigniewa Pawłowskiego. Ekspozycja miała być prezentowana w niskim budynku ukrytym za zachowanymi ruinami banku. Projekt pozostał jednak na papierze. Nawet po 1989 roku, gdy wreszcie zniknęła polityczna blokada, niewiele się w tej kwestii zmieniło. Prawo komisarza wojskowego zostało bowiem zastąpione przez święte prawo własności. Także nie tej odziedziczonej, lecz uzyskanej na skutek nieprzemyślanej decyzji urzędnika.

Gdy nastała wolność, w budynku od 1981 roku przeznaczonym na muzeum, w powstańczej reducie, tam, gdzie według oficjalnie wybranego projektu miały stać gabloty z eksponatami, swoje linie produkcyjne miała już firma Polcolor (Zakłady Lamp Profesjonalnych im. Róży Luksemburg). W 1992 roku, korzystając z ustawy o gospodarce nieruchomościami, wojewoda Bogdan Jastrzębski przekazał tej firmie grunt w wieczyste użytkowanie, zaś budynki oddał na własność. Polcolor miał zapłacić za całość cztery i pół miliarda starych złotych. Transakcji dokonano mimo braku zgody konserwatora zabytków, choć obiekt od jedenastu lat na liście zabytków figurował. Wojewoda uznał, że wystarczającą gwarancją będzie poczynione przez firmę w umowie zobowiązanie do wybudowania na tej działce muzeum oraz kompleksu biurowo-handlowego. Jednak w akcie notarialnym już tego nie zapisano. Kazimierz Dejmek, ówczesny minister kultury i sztuki, odwołał się do sądu od decyzji wojewody. Sąd uznał racje ministra, lecz decyzji wojewody nie uchylił. Rok później Polcolor wystawił wszystko na sprzedaż, bo – zgodnie z prawem – przedsiębiorstwo, które dostało grunt w wieczyste użytkowanie, zostało na nim uwłaszczone. I szybko z tego uwłaszczenia skorzystało.

Nowe czasy paradoksalnie wcale nie okazały się więc sprzyjające dla idei upamiętnienia Powstania Warszawskiego. Niby wszyscy całym sercem byli za, ale pojawił się opór materii. „Chcielibyśmy pomóc, ale przecież żyjemy w praworządnym państwie, nie da się – jak dawniej – po prostu tego »załatwić«. Są przepisy, dokumenty, zobowiązania” – słyszeli powstańcy. „Skończyły się czasy równych i równiejszych, was też to dotyczy” – tłumaczono przy kolejnych, wyrastających jak grzyby po deszczu problemach z muzeum. III Rzeczpospolita, zamiast usuwać, zaczęła je mnożyć.

Dariusz Gawin: Przyczyny tej przedziwnej niemocy były głębsze. Rząd dusz objęła w Polsce formacja intelektualna, której korzenie sięgały lewicy laickiej – KOR-u. Bardzo wielu spośród tych ludzi było wcześniej uwikłanych w komunizm, a nawet stalinizm. Dodatkowo konflikt wewnątrz obozu Solidarności rzutował na wszystkie

próby przedsięwziąć odwołujących się do niepodległościowej tradycji. Przecież elementem wojny na górze było przeproszanie za Solidarność i licytowanie związkowej legitymacji przez Zbigniewa Bujaka. W dobrym tonie było wstydenie się tego etosu.

Nowe państwo niby zmieniło nazwy ulic, ustanowiło nowe święta, ale było to robione na małą skalę, bez serca, jako działanie rutynowe. Jak nudne akademie, uzupełnione o msze święte. Zawsze traktowano te kwestie niczym tematy zastępcze.

A potem do władzy doszli postkomuniści, więc historia już automatycznie odsuwana była na drugi plan. Przecież Powstanie Warszawskie delegitymizowało całą tę formację, bo oficjalna opowieść o nim to było kłamstwo założycielskie PRL-u. 22 lipca 1944 roku ogłoszono manifest PKWN-u, a dziewięć dni później wybuchło powstanie, w którym cała stolica opowiedziała się po stronie legalnego rządu w Londynie. To był wielki plebiscyt na rzecz tego, jakiej Polski chcemy. Powstanie pokazało, że w Lublinie urzędują renegaci i marionetki Stalina. Dlatego postkomuniści o historii przypominać nie mieli ochoty. I rzucili hasło: „wybierzmy przyszłość”.

W nowej rzeczywistości los Muzeum Powstania Warszawskiego – na skutek wspólnej nieodpowiedzialności ludzi stanowiących prawo i urzędników stosujących je w praktyce – spoczął w rękach jednego człowieka, Antoniego Feldona, właściciela spółki Reduta, który zakupił nieruchomość przy Bielańskiej. Od początku chciał w tym miejscu postawić biurowiec. Zwierzał się dziennikarzom, że nie miał pojęcia o planach umiejscowienia tam muzeum, w co trudno uwierzyć. Zwłaszcza gdy spojrzy się na plan zagospodarowania terenu, gdzie stało czarno na białym: „Zalecenia: budowa na terenie przy ul. Bielańskiej 10 Muzeum Powstania Warszawskiego lub obiektu administracyjno-usługowego wykorzystującego istniejące urządzenie podziemne banku”. Inna rzecz, że niewinne „lub” w tym zapisie dawało inwestorowi możliwość wyboru, całkowicie wypaczając samą ideę planowania przestrzeni publicznej mającej historyczny kontekst.

W 1994 roku, po wielomiesięcznych korowodach relacjonowanych na łamach stołecznej prasy, Antoni Feldon doszedł do

porozumienia z burmistrzem Śródmieścia Janem Rutkiewiczem. Prezes Reduty zgodził się przeznaczyć około trzy i pół tysiąca metrów kwadratowych przestrzeni biurowej na potrzeby muzeum, choć – jak podkreślał – „wcale nie musiał tego robić”. Rada dzielnicy przeznaczyła wówczas na ten cel osiemdziesiąt miliardów starych złotych. 31 lipca przy Bielańskiej 10 w ramach obchodów pięćdziesiątej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego uroczystie wmurowano kamień pod budowę muzeum.

1 sierpnia 1994 roku był dniem wyjątkowym. Dniem ważkich deklaracji i pięknych słów. Wieczorem przy Pomniku Powstania Warszawskiego, pół wieku po wybuchu powstania, przemawiał prezydent Rzeczypospolitej Polskiej – a zarazem legendarny lider Solidarności – Lech Wałęsa. Były też wystąpienia szefów licznych delegacji zagranicznych. Całość zwieńczyła inscenizacja walk powstańczych wyreżyserowana przez Izabelę Cywińską. Fetowani bohaterowie sprzed pięćdziesięciu lat mieli pełne prawo wierzyć, że wreszcie nastał koniec ich kłopotów. Niestety, był to dopiero początek nowego sezonu gorszącego muzealnego serialu, który jak w soczewce pokazał nieudolność urzędniczą i brak woli politycznej, tak typowe dla Polski lat dziewięćdziesiątych.

Dariusz Gawin: Święto się skończyło, były ważniejsze rzeczy do zrobienia, trzeba było zająć się transformacją. Politycy, urzędnicy, a i sami zabiegani Polacy nie zaprzęтали sobie głowy historią. A przede wszystkim nie mieli do niej serca. Oczywiście nikt nie powinien tamtym elitom zarzucać braku patriotyzmu, on był po prostu jak z wiersza Kasprzowicza: słowo „ojczyzna” rzadko gościło na ich wargach.

Brak serca widać było właśnie przy świętowaniu ważnych dla naszej tożsamości rocznic, a nawet wybieraniu tego, co świętować należy. Upamiętniano na przykład dziesiątą rocznicę Okrągłego Stołu, co było bardzo charakterystyczne dla sposobu myślenia środowiska, które przecież przy nim się kształtowało. Dlatego ów stół niczym relikwiię wystawiono przy wejściu do Pałacu Prezydenckiego – co było pomysłem Aleksandra Kwaśniewskiego. Bawiono się

wówczas na zamkniętej imprezie na dziedzińcu pałacu. Starannie wyselekcjonowani goście wysłuchali koncertu. Edyta Górniak śpiewała *Jestem kobietą*. To była kwintesencja lat dziewięćdziesiątych, żadne tam świętowanie klęsk, tylko piknik z okazji okrągłego stołu. Wyszło niezręcznie.

Ale z drugiej strony trudno się dziwić. Rząd dusz sprawowało pokolenie wychowane na demitologizacji, na Gombrowiczu i Mrożku, na polskim kinie, w sposób naturalny nie potrafiące tworzyć mitów spajających. Ten styl myślenia to coś więcej niż podział na lewicę i prawicę, ludzie wychowani w ten sposób nadawali się na kpiarzy, a nie budowniczych wielkich narracji, które są mitami w dobrym, a nie potocznym znaczeniu tego słowa.

Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć już bez emocji, że fiasco całej operacji związanej z otwarciem Muzeum Powstania Warszawskiego przy ulicy Bielańskiej było nieuniknione. Antoni Feldon nie miał bowiem pieniędzy na swoje szklane domy, liczył raczej na publiczne środki. Z kolei miasto owe osiemdziesiąt miliardów zarezerwowane na muzeum wołało zainwestować „w przyszłość”, czyli budowę metra. Sytuację próbował ratować wojewoda, proponując biznesmenowi ziemię na własność w zamian za wybudowanie muzeum ze środków prywatnych. Miało ono być w tej wersji już nie własnością miasta, ale Skarbu Państwa. Spółka Feldona przystała na te warunki, w 1996 podpisała akt notarialny i... przez trzy lata nic nie zrobiła. Tyle że już na swoim terenie. Nastąpił całkowity impas.

W 1999 roku udało się go przełamać, zmieniając projekt i pomysł na lokalizację. Wciąż wirtualne muzeum przeniesiono z narożnika alei Solidarności i ulicy Bielańskiej (gdzie nie podjęto żadnych działań) do najlepiej zachowanego fragmentu budynku u zbiegu ulic Bielańskiej i Daniłowiczowskiej, gdzie w grę nie wchodziła już budowa, a jedynie nadbudowa. Od tego momentu prace faktycznie ruszyły i szybko osiągnęły stan surowy. Zatknięto wiechę i zaproszono kombatantów. Ale budynek całkowicie nie nadawał się do zagospodarowania na cele muzealne, nie było drzwi, okien, instalacji. Stan był faktycznie surowy, ale na pewno nie finalny. „Pan Feldon

używał pięknych słów, obiecywał wspaniały budynek. Daliśmy się oczarować” – żalił się „Gazecie Wyborczej” Zbigniew Ścibor-Rylski, prezes Związku Powstańców Warszawskich. „Dla nas ten budynek to po prostu przekręt. Postawiono go bez żadnej analizy potrzeb przyszłego muzeum. Zrobiono niskie pomieszczenia, by uzyskać jak największą powierzchnię” – mówił profesor Kucza-Kuczyński, autor dwóch projektów z 1986 i 1990 roku. Wojewoda Antoni Pietkiewicz najpierw odmówił przyjęcia budynku, potem jednak chciał to zrobić, ale inwestor już zmienił plany. Prezydent Warszawy Wojciech Kozak próbował namówić Feldona na sprzedaż nieruchomości za jedenaście milionów, ale ten chciał dwa razy tyle. Przelicytował, bo kombatanaci i samorządowcy mieli już dość. Wreszcie zrozumieli, że po blisko dziesięciu latach ta epopeja dobiegła (nieszczęśliwego) końca i trzeba szukać nowej lokalizacji dla muzeum.

Najpierw powrócono do koncepcji umieszczenia ekspozycji w pomieszczeniach dawnej miejskiej gazowni na Woli przy ulicy Prądyńskiego, nieopodal Kasprzaka. Wyobraźnię powstańców rozbudził przede wszystkim oscarowy tandem Alan Starski-Andrzej Wajda, który przedstawił pomysł wystawienia tam Panoramy Powstania Warszawskiego, na wzór tej Raławickiej. Sama panorama miała być nie tyle częścią muzeum, co rodzajem osobnej atrakcji turystycznej. Dodatkowo architekci Kucza-Kuczyński i Miklaszewski przygotowali też wstępne szkice właściwego muzeum, które umieściłoby swoje pomieszczenia na niższej kondygnacji gazowni pochodzącej z 1888 roku, złożonej z dwóch rotund z czerwonej cegły.

Andrzej Wajda makietę powstańczej panoramy pokazał w czerwcu 2000 roku w galerii Kordegarda w ramach wystawy *Trzy projekty* (dwa pozostałe to ruchomy pomnik patriotyczny w kształcie orła wynurzającego się z wody dla Gdyni i witraże Wyspiańskiego wkomponowane w gmach jednego z Punktów Sieci Informacji Miejskiej dla Krakowa). Najważniejszą część wizjonerskiego pomysłu stanowiła czteropiętrowa konstrukcja częściowo wyburzonej kamienicy, z windą dowożącą zwiedzających na górny taras. „Z niego widz mógłby dostrzec sytuację militarną całej powstańczej Warszawy, aż po odległe dzielnice, gdyż na wewnętrznej ścianie zbiornika

umieszczone ma być gigantyczne malowidło, przedstawiające ten rozległy krajobraz, nad którym powiewać ma powstańcza flaga wystrzępiona przez kule” – wyjaśniał Andrzej Wajda w opisie załączonym do prezentowanych szkiców i makiety. Zgodnie z makieta zwiedzający schodziłby po spiralnym podejściu, oglądając obronę kamienicy, stanowisko obserwacyjne, granatnik, sztab powstańczej jednostki, harcerkę, która przynosi meldunek, a poniżej powstańczą barykadę, niemiecki czołg i miotacz płomieni. Efekty dźwiękowe i wizualne miały wytwarzać złudzenie, że znajdujemy się w centrum wydarzeń, wokół trwa powstanie, wybuchają bomby, atakują czołgi.

Do pomysłu panoramy bardzo zapalił się prywatny właściciel starej gazowni, bardziej niż do samego muzeum. Ostatecznie ani jednego, ani drugiego projektu nie udało się zrealizować. Publicznej placówki nie można było otworzyć na prywatnym gruncie.

Nastroje wśród kombatantów nie były dobre. Przygnębiał już cały kontekst obchodów pięćdziesiątej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, prawdziwym wstrząsem był opublikowany w „Gazecie Wyborczej” tekst Michała Cichego, który, recenzując wspomnienia Calela Perechodnika, napisał, że przetrwał on „nawet Powstanie Warszawskie, kiedy AK i NSZ wytłukły mnóstwo nie-dobitków z getta”. Tekst nie wywołał jakiegoś masowego oburzenia, raczej wpisywał się w nurt odbrażawiania historii. Powstańcy jeszcze nie zdążyli się nacieszyć własną rehabilitacją, a już stali się obiektem dekonstrukcji narodowego mitu.

Dariusz Gawin: Pewnie trudno dziś już w to uwierzyć, ale nawet jedyna w swoim rodzaju defilada z udziałem kombatantów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie nie wzbudziła większych emocji ani zainteresowania. Choć była to defilada zwycięstwa, nawiązująca bezpośrednio do tej sprzed pół wieku, na którą nie zaproszono nas do Londynu. Szli żołnierze Maczka, Andersa, Sosabowskiego, delegacje z Anglii, Kanady, z Republiki Południowej Afryki. Setki kombatantów ze sztaendarami swoich formacji przedefilowało przez Plac Piłsudskiego. Byłem wtedy wśród widzów, którzy zgromadzili się, by ich okłaskiwać. Uderzyło mnie, że było nas chyba mniej niż

kombatantów. Teraz pewnie taka defilada ściągnęłaby kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Wtedy to wydarzenie praktycznie nie zaistniało nawet w mediach. Rozegrało się w jakiejś próżni.

Powstańcy też czuli, że otacza ich podobna pustka. Na kolejne rocznice przychodziło coraz mniej młodych ludzi, widzieli wokół tylko te same znajome twarze. Na obchodach pięćdziesiątej trzeciej rocznicy zabrakło nowego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego. Jego służby wyjaśniały, że „prezydent trzyma się zasady, aby uświetniać tylko »okrągłe« rocznice”. W 2000 roku władze Warszawy złamały piękną, choć niepisaną tradycję. 1 sierpnia o godzinie „W” nie tylko nie stanęły samochody, ale swoich pojazdów nie zatrzymała nawet komunikacja miejska. Rzecznik ówczesnego prezydenta Piskorskiego wyjaśniał, że w ogromnych korkach, jakie robią się w Warszawie, trudno jest zatrzymać się raptownie o wyznaczonej godzinie.

Mimo rosnącego zobojętnienia nie słabnie atak na samo powstanie. W 2002 roku Jarosław Kurski, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”, wspomina: „Szerzący się w naszym domu kult powstania zdusił w zarodku naturalną dzieciom racjonalność i położył podwaliny pod szkodliwą polonocentryczną i romantyczną szkołę politycznego myślenia, która charakteryzuje się tym, że w procesie myślenia mózg nie bierze udziału (...). Mit to jedyna rzecz, jaką przyniosło powstanie. Ale dziś myślę sobie, że żaden mit nie jest wart ceny, jaką przyszło za niego zapłacić podczas 63 dni walki: 200 tys. zabitych, zagłada Warszawy. W imię jakiej sprawy zginęło 16 tys. młodych żołnierzy AK? (...) Jeżeli tylko w imię tego cholernego mitu, to ja takiego mitu nie chcę”.

Elżbieta Jakubiak: Byłam wtedy blisko środowisk kombatanckich, bo pracowałam w administracji od początku lat dziewięćdziesiątych. Mogę zatem potwierdzić, że wola uhonorowania powstańców była, gorzej z determinacją. Nie udawało się z różnych powodów. Może za długo trwano przy niefortunnych pomysłach, lokalizacjach, które nie miały szans na realizację. Teraz wiem, że jak się nie udaje tu, trzeba próbować gdzie indziej.

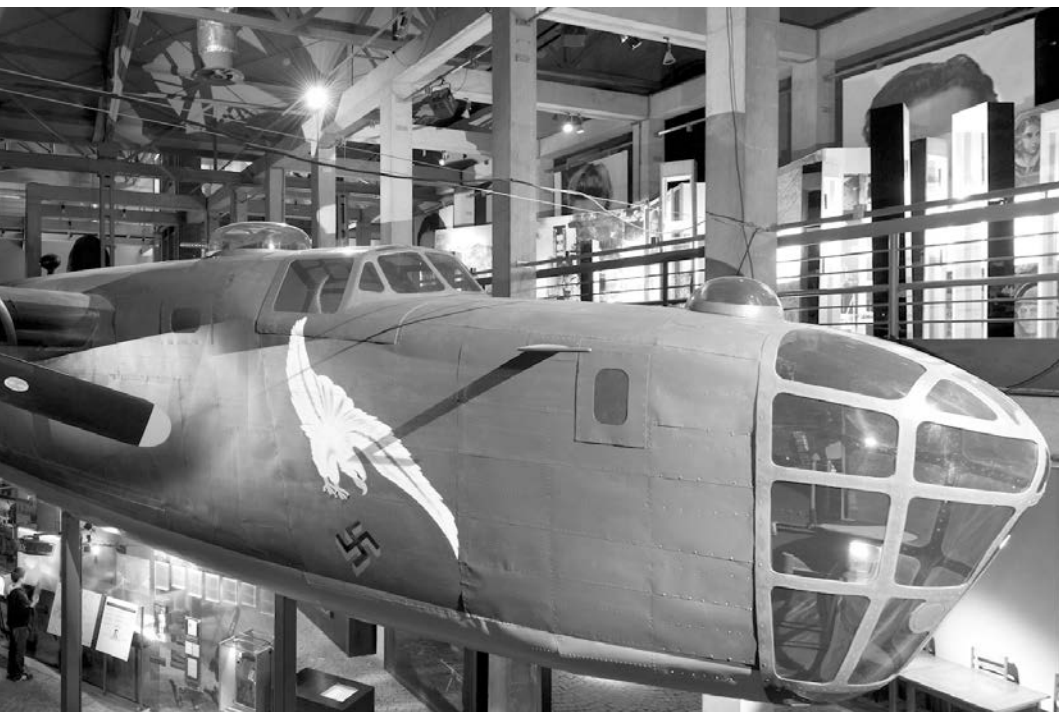


Sala pod Liberatorem w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Fot. Zbigniew Furman/MPW, Robert Danieluk/MPW

Poza tym dopiero z dzisiejszej perspektywy widać, jak bardzo wszyscy byli zafascynowani odzyskaną wolnością, jak skupili się na terażniejszości i jak – być może podświadomie – na drugi plan spychali przeszłość. I poczucie obowiązku, powinności, długu wobec tych, którzy nam tę wolność dali.

Gdy w 1998 roku przyszedłem do Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, zastałem tam dwieście tysięcy listów upchniętych w szafach. Listów, na które nikt nie odpowiedział. A każdy z nich to była jakaś ważna dla tych ludzi sprawa, najczęściej mająca swe korzenie jeszcze w latach czterdziestych. Jednocześnie w tym samym 1998 roku wciąż było sześćdziesiąt tysięcy ubeków,



którzy mieli uprawnienia kombatanckie i byli traktowani tak samo jak weterani II wojny światowej. Kierowca Bieruta był kombatan-tem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a żołnierz WiN z wyrokiem śmierci – nie.

Jan Ołdakowski: Pamiętam, jaki szok wywołało wtedy w Polsce to, co robiła w Niemczech Erika Steinbach. Równie zaniepokojeni byliśmy kolejnymi przykładami na to, że odradza się imperialna polityka historyczna w Rosji. Powoli zaczęto sobie uświadamiać, że w sferze symbolicznej, w kwestii polityki historycznej, jesteśmy praktycznie bezbronni, bo nie mamy żadnych instytucji, które mogłyby się tym zająć profesjonalnie. Powołany w 1998 roku

Instytut Pamięci Narodowej dopiero rodził się w bólach. Mało tego, przez pierwszą dekadę III Rzeczypospolitej nie powstała żadna instytucja narodowej kultury poza Książnicą Pomorską w Szczecinie. W ogóle nie budowało się gmachów użyteczności publicznej, nikt nie mówił, by stawiać muzea, opery czy teatry. Muzeum Powstania Warszawskiego przełamało tę niemoc.

SPIS TREŚCI

PROLOG	
Dziewiętnaście godzin	7
WPROWADZENIE	
Jedyna taka rocznica. Jedyne takie muzeum	13
ROZDZIAŁ I	
Od zмовы milczenia do niemocy 1945–2003	25
ROZDZIAŁ II	
Szkoła przyjaźni	45
ROZDZIAŁ III	
Kto ma przeciąć diament?	65
ROZDZIAŁ IV	
Zakład z losem	77
ROZDZIAŁ V	
Projekt	97
ROZDZIAŁ VI	
Pospolite ruszenie	113
ROZDZIAŁ VII	
Święto	133
ROZDZIAŁ VIII	
Siła narracji	153
ROZDZIAŁ IX	
My, powstańcy	171
ROZDZIAŁ X	
Polityka vs. lojalność	187
ROZDZIAŁ XI	
Muzeum Wolności	203

JEDYNE TAKIE POWSTANIE, JEDYNE TAKIE MUZEUM, JEDYNA TAKA KSIĄŻKA

**Najważniejsze polskie muzeum i najważniejszy, arcykowski temat
– powstańcy warszawscy. Czemu musieliśmy czekać sześćdziesiąt lat,
by uczcić ich pamięć? Komu zależało na tym, by Muzeum nie powstało?**

**Jaką rolę w jego stworzeniu odegrał śp. Lech Kaczyński
i czy bez niego zostałby Prezydentem RP?**

Książka Piotra Legutki odpowiada na te pytania głosami twórców
tej niezwykłej instytucji. To barwna, pełna anegdot opowieść
o projekcie, który nie miał prawa się udać...

*Jest rok 2003. Upalne lato. Do obchodów sześćdziesiątej rocznicy wybuchu
Powstania Warszawskiego zostało dwanaście miesięcy. Muzeum, które miałoby
je upamiętnić, wciąż nie istnieje. Nie ma go na mapie Warszawy
ani nawet na urzędowych pieczętkach. Jest tylko w deklaracjach
prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego. Ale wiadomo,
jak to z obietnicami wyborczymi bywa. Ludzi, którzy wierzą w to,
że za rok o tej samej porze owa obietnica się ziści,
można na razie zmieścić w jednej windzie...*



Piotr Legutko – dziennikarz i publicysta,
wykładowca na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II
i na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zawodowo związany
z „Gościem Niedzielnym”. Publikował m.in. w „Dzienniku
Polskim” i „Rzeczpospolitej”. Autor i współautor kilku książek:
Mity czwartej władzy, Kod buntu, Jad medialny, Gra w media,
Sztuka debaty, czyli jak się nie dać, Dlaczego zawiedliśmy?,
Między Majdanem a Smoleńskiem.

Cena 34,90 zł

ISBN 978-83-240-3015-6



9 788324 030156 >

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na
woblink.com